Nr. 49. Warszawa, dnia 24 Listopada (6 Grudnia) 1871 roku. ROK VII.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnej blizko Nowego-Świa-tu Nr. 1,260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Prenumeratorowie z prowincyi raczą przedpłatę nadsyłać wprost do Redakcyi, w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY.

Serya druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie; na Prowincyi: rs. 1 k. 20 kwart. (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼ oraz na zapakowanie i ekspedycyę k. 33¾). Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul. Senatorska Nr. 496; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

ALOIZY STOLPE.

Trzydzieści pięć lat życia na scenie—to bardzo wiele. Odczuć wszystko, co tylko na ziemi wzniosłe jest i co nikczemne: kochać jak Romeo, nienawidzieć jak Makbeth, z Klaudyuszem urągać sprawiedliwości i cnocie, przeklinać z Learem, płaszczyć się z Poloniuszem, tęsknić z Hamletem i, jak Otello, wybuchać piorunami zazdrości! A przy tém wszystkiém być jeszcze człowiekiem, zwyczajnym człowiekiem; umieć nim być: ocierać się o nędze ludzkie,—nosić często łzę w duszy, a uśmiéch na ustach...... Z tém podwójném życiem istnieć trzydzieści pięć lat.—To wiele.

Małą liczbę znajdziecie aktorów, coby tego kresu dobiegli. Bo nie łudźcie się czytelnicy. Sztuka sceniczna, to drugie życie. Te wszystkie uczucia rumienią krwią wasze lica, poruszają gwałtowniéj wasze serca w piersi, które istnieją rzeczywiście. Ten świat złudzeń roztaczający się przed waszémi oczami, odnośnie do ludzi co w nim działają, jest—prawdą. Jeżeli macie serca z drzewa lub z kamienia, jeżeli na czole waszém apatya ciemnieje, a usta wam szpeci konwencyonalny grymas znudzenia, możecie np. nie uwierzyć boleści Desdemony, łzom Kordelii lub obłąkaniu Ofelii. Artystka wierzy im, ale tak mocno, że je sobie przyswaja. Przez kilka godzin, w których akcya dramatu, kwintessencya życia, się rozwija,—ona cierpi, rozpacza, szaleje naprawdę. Czyżby inaczéj była zdolną wywołać łzę współczucia na wasze oko, lub dreszcz przerażenia na wasze rysy?!...



Aloizy Stolpe.

Scena czy trybuna—wszystko jedno. Tu i tam człowiek występuje w pełni swéj istoty. Tu i tam idea wciela się w słowo lub w czyn, duch wstępuje w kształty, ciało wspiera duszę siłą poruszenia, blaskiem oczu, krwią żył—i woła do rozumu: „Swiéć—ja cierpiéć będę!“

* * *

Teatr jest szkołą. Nie wielu ludzi ośmiela się dziś zaprzeczyć téj prawdzie. Materyaliści tylko, uporczywie wmawiający w ludzkość, że człowiek samym chlebem żyje—chcieliby obalić sztukę.

Aktor więc ma święte i wysokie posłannictwo. Jest pośrednikiem pomiędzy prawdą, a tłumem. Przed jego katedrę zbierają się starcy i młodzieńcy, bogaci i ubodzy, widzący i ciemni, szlachetni i skalani, bohaterowie i podli. Wszyscy przynoszą z sobą jeden zasób—duszę ludzką, doskonalącą się pod wpływem wrażeń.

Nad témi wszystkiémi duszami artysta panuje za pośrednictwem dwóch potęg: łez i śmiechu. Łza rozrzewnia, śmiech umacnia. Łza poprawia, śmiech karci.

Nagrodą tego wysokiego zadania bywają zwykle — przelotne oklaski chwili, obojętność... i zapomnienie.

„Za wiele im płacą“—wołają zawistni publicyści. „Za wiele im klaszczą“—krzyczą inni.—„Społeczeństwo zapomina dla nich o cichéj zasłudze wielu jednostek,“—dorzucają inni jeszcze do wtóru.

A głosy te padające na bujną niwę przesądów, jeszcze w nocy średniowiecznéj wylęgłych i do dziś dnia zasłaniających światło, składają się na to, że tych pracowników sztuki, większość uważać raczy za próżniaków żyjących z łaski tłumu.

* * *

Są pomiędzy nimi, jak na firmamencie, gwiazdy świetniejsze i skromne.

Pierwsi mają przynajmniéj sławę. Nie dbają o to, co w zakącie domowego ogniska, powié o nich spanoszony, tłusty mieszczanin, lub jego cnotliwa, ograniczona małżonka. Gdy wejdą na scenę, uszu ich dochodzi tylko szmer uwielbienia. Grzmot oklasków towarzyszy im przy każdym kroku. Upaja ich odurzająca woń hołdów i są szczęśliwi... jeżeli tylko artysta szczęśliwym być może.

Drudzy idą przez swój zawód, dobijając się ciężką pracą uznania. Jedyną ich nagrodą jest miłość dla sztuki, któréj oddali życie i przekonanie, że są użyteczni. Stanowią akompaniament w wielkiéj symfonii dramatu. Pojedyncze melodye wzbijają się ponad całość, słuchacze im przyklaskują, akompaniament podnosi je i uwydatnia. Orkiestra ma połowę przynajmniéj zasługi w laurach, jakie na primadonnę spływają, — a któż ze słuchaczów zważa na orkiestrę?

* * *

Jednym z najsumienniejszych, najpracowitszych i najwytrwalszych pracowników naszéj sceny, był Aloizy Stolpe, dobiegający, w chwili, gdy to piszemy, trzydziesto-pięcio-letniego okresu działalności. Natura odmówiła mu wielu warunków powierzchownych, któremi najłacniéj trafia się do sympatyi publiczności, ale w zamian za to obdarzyła go duszą wrażliwą i pełną zapału; intelligencyą szeroką i poważną. Głos twardy i niełatwo naginający się do delikatnych modulacyj, a przytém wzrost nieco mniéj niż średni, były może główną z przyczyn, dla których Stolpe nie stanął u szczytu powodzenia scenicznego.

Nie zraziło go to jednak i nie zniechęciło. Nie zazdrościł nikomu sławy i, możemy śmiało powiedzieć, my, cośmy go tyle razy widzieli na scenie i poza sceną — niewiele dbał o nią. Chodziło mu tylko o zgodę z samym sobą, o pewność, że wypełnił wszystko, czego od niego wymagała godność artysty i sumienie człowieka. Nigdy nie zniżył się do podstępnéj zawiści, nie wszedł w żadną zakulisową intrygę, do których, niestety, burzliwe życie artysty, tak wiele otwiera pola. Powszechny szacunek, jakim go otaczają koledzy, najwymowniéj prawdę słów naszych potwierdza.

Na rolę mu powierzoną patrzył zawsze ze stanowiska całości sztuki. Piérwszorzędni, przywykli do ciągłych hołdów, wpadają często w wadę, zwaną w żargonie teatralnym: *wirtuozowaniem*. Grając główną postać, zapełniają tak dalece scenę mimiką, gestami i w ogóle sobą, że przeszkadzają rozwinięciu się i uwydatnieniu innych postaci. Widz, wyszedłszy z teatru ma wtedy dokładne wyobrażenie o grze tego lub owego artysty, ale przewodnia myśl autora, cele

jakie ten sobie założył, kontrasty świateł i cieniów—zacierają się prawie zupełnie.

Dodajmy jeszcze—bo i dla czegóżbyśmy na tém miejscu prawdy powiedzieć nie mieli?—że są artyści, którzy w dyalogach z innymi wykreślają wybitniejsze ustępy, włożone w usta współgrającym, ażeby przypadkiem nie dostali za to oklasku.....

Stolpe nie *wirtuozował* nigdy. Widzieliśmy go w wielu pierwszorzędnych rolach, a zawsze zajmował sobą na tyle tylko uwagę widza, ile tego sztuka wymagała. Wolał być najsłabszą choćby sprężyną do uwydatnienia myśli poety, aniżeli jéj zabójcą.

* * *

Urodził się dnia 22 Listopada 1818 roku. Ojciec jego był artystą muzycznym i kompozytorem, a podówczas Dyrektorem Konserwatorium Warszawskiego. Młody artysta, po ukończeniu szkół Działyńskich, wstąpił do teatru narodowego w 1835 r. Kształcił się początkowo w szkole chórów, następnie zaś w szkole dramatycznéj pod kierunkiem ówczesnéj znakomitości scenicznéj, Bonawentury Kudlicza, artysty dramatycznego. Wystąpił po raz piérwszy w roli pułkownika Ernesta, w komedyi: „Nienawiść kobiet“ d. 3 Marca 1837 r.

Jedyny może z naszych artystów, Stolpe występował jednocześnie w operze i w dramacie. Jako śpiewak odtwarzał pierwszorzędne partye bassowe, a więc z natury rzeczy i głosu—czarne charaktery. Do główniejszych należały: rola Deja Algieru, w op. Rossiniego „Włoszka w Algierze,“ Leporella w „Don Juanie,“ Bartola w „Cyruliku Sewilskim,“ Seida w „Handlarzu Niewolnic“ i Bertrama w „Robercie Djable.“

W dramacie przeciwnie, grywał nieszczęśliwe ofiary nowszéj komedyi—kochanków mających zawrzéć związki małżeńskie w końcu ostatniego aktu.

Nie pamiętamy wystąpienia Stolpego w operze; wiémy jednak z opowieści kompetentnych, że był to śpiewak sumienny i zdolny. Pracą nad siły przedwcześnie zrujnował zdrowie. Śpiewając partyą Bertrama, dostał na scenie krwotoku i wyniesiono go za kulisy bez zmysłów, prawie bez życia. Uratowany staraniem lekarzy z groźnego niebezpieczeństwa, wyrzekł się stanowczo śpiewaczego zawodu.

* * *

Na tém kończymy naszą pobieżną wzmiankę o życiu i działalności zasłużonego artysty, który po trzydziestu pięciu latach ciężkiéj pracy, nie schodzi jeszcze ze sceny, pragnąc poświęcać się do ostatnich chwil życia ukochanéj sztuce. Wykazaliśmy już wyżéj zalety przyświęcające jego artystycznéj wędrówce: dokładne ocenienie swego stanowiska wobec sztuki i wytrwałą intelligentną pracę. Człowieka, cechowała zawsze nieposzlakowana prawość, gotowość do poświęceń dla drugich. Nie chcąc obrażać skromności tego artysty szumnémi pochwałami, powtórzymy tylko to, co mówią wszyscy umiejący go znać i cenić: „dobrze się zasłużył scenie i społeczeństwu!“

Kazimierz Łuniewski.

Z LEGENDY WIEKÓW

W. Hugo.

Do Lwa Androklesa.

Gród był świata odbiciem. A była to era,
W któréj, rzekłbyś, duch wszelki niemieje, zamiera, —
Światła gasną niebieskie, — wszystko przewrót wróży...
Rzym purpurą swą okrył wstrętny brud kałuży,
Niedźwiadek tam się czołgał, gdzie orły bujały,
Trymalcyon ślady ścierał Scypionów chwały;
Roma piła, szalona, z twarzą w ogniach całą,
A z orgij tych sromotnych wonią grobu wiało.
Miłość, szczęście w niéj były, jak wstrętne poczwary:
Lesbia, przed szkłem zwierciadła, gdy jéj nóżek czary
Czcił Tybull,—niewolnicy, co drżąc, jéj warkocze
Zwijała w sploty.. zresztą niebardzo urocze, —
Szpilkę złotą, z uśmiechem, w pierś nagą wbijała.
Powódź zła przez pierś ludzką w świat, pieniąc się, lała.
Namiętności precz wyszły poza swe orbity;
Ojciec konał z przekleństwem, przez syna przebity;
Retor schlebiał wielmożom z błazny pociesznemi;
Kał, złoto były—wszystkiém. Tam, w mroku podziemi,
Zbir, trupa męczennicy znieważał... a złoty
I okrutny Rzym—śpiewał. Przed miejskiémi wroty
Jakiś Krassus, ilotów i króli bicz srogi,
Wbijał krzyże z jeńcami po dwie strony drogi;
I Katull, co miłości słynął bohaterem,
Gdy z Dalilą przechodził strasznym tym szpalerem,
Sześć tysięcy drzew ludzkich krwią na nich bryzgało.
Dnie wielkości zbyt Romę przesyciły chwałą.
Srom wszelki miłym gościem był tu i powagą:
Messalina, z uśmiéchem, Rzym witała nago
I na łożu publiczném legała odkrycie.
Mężczyzna cackiem marném był Epafrodycie;
Ta, bawiąc się, szarpała członki Epikteta;
Niemowlę, starzec drżący, brzemienna kobieta,
Niewolniki, gladyator i męczennik, społem, —
Rzuceni na łup zwierzom, drżący, z trupiém czołem,
Uciekali... i w cyrku potworna, drgająca,
Śmierć, jak żmija się wiła, sycząc nawprost słońca.
A kiedy niedźwiedź mruczał i słonie deptały
Rzucony im pod stopy stos dzieci zdrętwiały, —
Westalka, w marmurowém krześle, czysta, biała,
Marzyła... i, jak owoc z drzewa, śmierć spadała
Z zadumanego czoła piękności. Zbestwiona
Okrutność, błyskawicą, z oczu skorpijona
Przeszła w oko dziewicze. Świat wonczas był — lasem;
Cesarstwo w nim—oberżą z wygodnym popasem.
Ktoś z boru, tron spotykał po drodze—i śmiało
Brał go — i zapuściwszy ząb w ludzkości ciało,
Znikał. Tyberyusza Neron zmienił srogi;
Cezar Hunna, Ibera, Gota zmiótł pod nogi
I, władca dnia, kwiat niby, co w dniu jednym ginie,
W wieczór,—jeśli nie bogiem... padłem był jedynie!
Witelliusz, ten po szczeblach zbrodni i wielkości,
Staczał się w mrok, w gemonium, ze zgrozą ludzkości.
Ciemnice te z trupami — pręgierze w krwi dymie,
Cuchnące, straszne, wstrętne—te jatki olbrzymie,
Zdawało się, że zgnoją skielet świata cały.
Pastwy tortur na hakach pręgierzy chrapały:
Tchórz bez pięści; żyd ówdzie wisiał—bez języka;
A tam, złodziéj — bez oczu. I straszna i dzika,
I tu, jak w owym cyrku, śmierć co krok ryczała.
Przepaść czarna, kloaka paszczę roztwierała —
Rzym staczał się w nią klocem. I w tém morzu błota,
Gdy niebo grom po gromie, w gniewie słusznym, miota,
Dwaj cezary, (w téj liczbie zgubę widzą prości),
Schodzili się za życia — i w owéj ciemności,
Gdzie zwłoki ich ciągała zgraja psów wyjąca,
Dzisiejszy wczorajszego cezar—patrz—potrąca.
Zbrodnię czarną ślub spoił z ohydnym nałogiem.
Zamiast rasy, duch któréj był w odblysku Bogiem, —
Zamiast Adama, Ewy, tak przeczystych... oto
Jakiś dziwotwór straszny pełzł przez ziemskie błoto;
Mężczyzna i niewiasta—dwie głowy straszydła.
Roma—to w bagnie wstrętném maciora obrzydła.
Istota ludzka, niebu niemiła, złowroga,
Straszliwy mrok rzucała w dom świetlany Boga.
Zmieniła z gruntu wszystkie kształty ducha, ciała.
Źrenica jéj zagasić gromem światłość chciała.
I widziano, (to właśnie przeddzień był Attyli!)
Jak wszystko to, co dotąd ludzie ducha czcili,
Drgało pod jéj szponami. U paszczy wisiały
Z jednéj strony—cnót szczątki, z drugiéj—szmatki chwały.
Człowiek ryczał... gdy myślał, że przemawia czule.
Duch ludzki chciał już wzbić się ponad ziemską kulę,
Lecz drżący, zanim wiecznie miał się rozstać z nami,
Zawahał się, pod niebios zwieszon filarami
I szukał... bodaj zwierza na przytułek jeszcze.
Z grobów słyszano jęki straszliwe, złowieszcze...
Z głębi ich śmierć złowroga, blada, chichotała...
I wtedy ty, którego pustynia zdziczała
Zrodziła, — gdzie nic niéma, prócz Boga i słońca, —
Ty, myśliciel samotny, jak grota milcząca,
Przybyłeś do téj Romy, gdzie zbrodnie mieszkały
I w strasznym tym chaosie zadrżałeś wspaniały.
I oczy twe nad światem, co broił niegodnie,
Błysły, jak dwie miłości, dobroci pochodnie.
Wstrząsłeś grzywą nad Romą, nad występnym wiekiem,
I... gdy człowiek był zwierzem, lwie! tyś był — człowiekiem.

Klemens Podwysocki.

TCHÓRZOSTWO LITERACKIE.

Rozpatrując się w naszych pismach peryodycznych, poświęconych literaturze i krytyce, i zastanawiając się nad ich treścią, każdemu niemal przychodzi na myśl zasadnicza ich wada — *bezbarwność* t. j. mówiąc wyraźniéj, brak jakiéjś cechy odróżniającéj jedno pismo od drugiego. Wszędzie znajdujemy tenże sam materyał, z tego materyału porobione jednakowe domki, a w tych domkach kłębki wyporek ze starych pończoch, nawinięte na kawałek zabrukanego papieru lub próchniejącego drewienka. I wszystkim z tém dobrze: ci, co nawijali owe kłębki, wychwalają jeden przez drugiego swoję zręczność, sztukę, artyzm, głęboką znajomość rzeczy, unoszą się nad doskonałością formy owych domków, nad dobrocią materyału, z którego pobudowane zostały, słowem, kochają się, jak synowie jednéj matki (głupoty — powiedziałby grubijanin); uwielbiają, jak kochankowie. A jeżeli jakiś odosobniony głos wyrwie się dysharmonijnie z téj admiracyjnéj symfonii, wszyscy odwracają się w tę stronę z okiem zaniepokojoném, szyderczém lub nienawistném. Bo i pocóż znalazł się taki, co im wprost bez ogródek powiedział, że ich domki nie mogą nawet rywalizować z wyrobami bobrów? że kłębki przez nich zwinięte, na tandetę nawet pójść nie mogą? Poco się zjawił śmiałek, co się odważył na prawdę szczerą, otwartą, wypowiedzianą jasno, dobitnie, która jednakże zakłóca ich drogi spokój i bezmyślność, — poco?..

Dla zwijaczy kłębków rzecz to o tyle dziwna, o ile nie do darowania. Ale dla myślącego człowieka stanowi ona taką pociechę, jakiéj np. doświadcza podróżny, kiedy śród puszczy samotnéj, głuchéj, usłyszy nagle głos ludzki, choćby nawet ten głos wychodził z piersi jego nieprzyjaciela. Śmiałość bowiem zdania, która gdzieindziéj jest sprawą życia codziennego, u nas stanowi tytył do zasługi. Słyszeliśmy niby, a nawet powtarzamy to niekiedy głośno w rozmowie i w piśmie, że prawda jest podstawą każdego dobrze uorganizowanego społeczeństwa, — że pobłażanie i pochlebstwo jest udziałem słabych jedynie; — w praktyce jednak całkiem innémi kierujemy się zasadami. Pan Jan jest najserdeczniejszym przyjacielem pana Piotra. Pan Piotr napisał najwierutniejsze bzdurstwo — Pan Jan poznaje się na tém, bo jakże się nie poznać?! — ale myśli sobie: „naco mam sobie robić z niego wroga?" Zasiada więc, gładzi łysinę, bierze pióro do ręki i pisze: „Pan Piotr w artykule swoim wypowiedział wiele rzeczy nowych i dobrych; powtórzył wiele rzeczy starych, których wartość jednakże wieczną żyje młodością" i t. p., wyczerpując w swoim artykule cały słownik banalnych frazesów, które następnie przypina gdzieindziéj nanowo, ex re jakiego innego piśmidła. Pan Jan bardzo łatwo może się znaleźć w położeniu pana Piotra, a wtedy p. Piotr taką samę zupełnie odbywa manipylacyą myślenia i pisania.

I takim sposobem powstaje obszerny magazyn zleżałych ogólników, który ma swoich dyrektorów, kassyerów, subiektów i chłopców sklepowych; magazyn, z którego za drogie nieraz pieniądze robią zakupy, literackie pisma w Warszawie. Zaopatrując się z jednego magazynu, nie mogą mieć różnych od siebie towarów.

Jeżeli się zaczniemy dobadywać przyczyn tego zjawiska, to znajdziemy je bezwątpienia w uczuciu bardzo nizkiém, poziomém, niemającém nic wspólnego z grzmiącémi parafrazami o posłannictwie pisarzy, — uczuciu, które w zawodzie np. wojskowym piętnuje się niesławą... w bojaźni, w braku odwagi wypowiedzenia istotnych przekonań — w *tchórzostwie*. Niejeden ma już prawdę na końcu języka, ale ją połyka natychmiast, powodowany tą wielką, genjalną myślą:

„A nuż inny powié o mnie tak samo!.."

Mówiąc po prostu każdy boi się o własną skórę, drży na wspomnienie niepewnéj przyszłości, modli się najregularniéj do bóztwa instynktu zachowawczego... i wtedy, będąc już jako tako zabezpieczonym, zaczyna rozprawiać głęboko, z przejęciem i namaszczeniem o godności i posłannictwie literata...

O ironjo!.. ciebie nie czują dusze bojaźliwe...

Oskarżając piszących o tak niezgodne z powszechnie przyjętémi pojęciami o godności, uczucie, — muszę to usprawiedliwić kilkoma zarysami, unaoczniającémi nam je lepiéj i dotykalniéj.

Najczęściej może w pismach naszych napotyka się uczucie bojaźni *w obec stosunków literackich*. Jeżeli w życiu naszém codziennéni, w wygłaszaniu zdań swoich, jesteśmy nieraz krępowani konwenansami, niepozwalającémi nam mówić otwarcie; jeżeli na zasadzie pustéj grzeczności oblicze prawdy zakrywać musimy woalem przyzwoitości, pochlebstwa lub fałszu; — to zdawałoby się, że w literaturze, która ma pretensyą do kierowania życiem, do prostowania dróg krzywych tegoż, powinnibyśmy nie widzieć tych wszystkich przeszkód, będących tamą dla prawdziwego postępu. Omyłka! Literatura w tym względzie, wbrew przekonaniu o istnieniu sztuki dla sztuki,—jest najwierniejszém odbiciem upodobań i nałogów społeczeństwa. Znajdujemy tu też samę ostrożność zdania, by kogo przypadkiem nie zadrasnąć; też samę pruderyą, lękającą się żywszego, dobitniejszego słówka na oznaczenie rzeczy będącéj w powszechnym obiegu; też samę przezorność i baczne oglądanie się na pp. Piotrów, Janów, Edwardów i t. d. W jednym tylko razie uchyla się rożek zasłony. Kiedy dwa pisma są w otwartéj z sobą nieprzyjaźni, kiedy postanowią szkodzić sobie stale... A! wówczas usłyszymy gorzkie słówka, przycinki, żarty, podejmowanie nieznacznych nawet błędów, a to w celu nizkim, małym — dokuczenia drugiemu. Zupełnie tak, jak w życiu.

Na wszelki inny wypadek służy reguła: „Rób sobie co chcesz, byleś mnie dał święty pokój." Nieoswojony z takim trybem postępowania, może się narazić na nieprzyjemność tego np. rodzaju: Pismo W. zamieściło artykuł przepełniony niedorzecznościami, które należało skarcić i potępić. Piszesz więc replikę i zanosisz do pisma P. Redaktor czyta, przeciera okulary, wreszcie składa ci do rąk twoje pisanie, mówiąc:

— Nie mogę drukować.

— Dlaczego? — pytasz się. Czy artykuł zły?

— Ale owszem,—owszem, bardzo dobry; tylko.. widzisz pan.. poco mi się mięszać w cudze rzeczy? Zanieś to pan do pisma W.— niech ono samo wydrukuje.

Tak więc kwestya prawdy, kwestya dobra ogólnego, nazywa się w języku tchórzów literackich — mieszaniem się w *cudze* rzeczy. *Cudze* rzeczywiście, nie mylą się, bo mówienie prawdy nie wchodzi w zakres *ich* specyalności; jest to niewygodne, psuje stosunki, naraża... A więc — siedzieć cicho!..

Spokrewnioném z tem uczuciém i częstokroć z niém skojarzonem, jest *tchórzostwo w obec powag*. Co to jest powaga? Gdyby mi szło o dowcip, powiedziałbym, że jestto bestyja apokaliptyczna przerażająca ogromem i liczbą swoich członków. Mówiąc prościéj, jestto ktoś, co napisał kilka lub kilkanaście tomów czegoś; ktoś uważany za człowieka talentu niezmierzonego i nieobliczonego, od którego wiele jeszcze spodziewać się można. Nie przeczymy bynajmniéj, że są niektórzy pisarze, mający wielkie zasługi w przeszłości lub w czasie obecnym, że im się należy szacunek i wdzięczność, że o pracach ich mówić należy z poszanowaniem. Nie idzie jednak zatém, żebyśmy przed każdém ich dziełem bili pokłony, nie rozbierając jego wartości, nie śmiąc przypuścić, że może w niém być cós słabego, niedołężnego lub zdrożnego. Jeżeli jakiś autor publikuje swój utwór, to musi być przygotowanym na to, że ludzie nie jego osobę oceniać będą, ale jego dzieło, które uważają, i bardzo słusznie, za przedmiot taki dobry do obserwacyi, jak każdy inny; że zastanawiać się będą całkiem objektywnie, czy dzieło to przyniesie im jaki pożytek, lub nie. Dlatego, że ktoś ogłosił cóś znakómitego, co wielki wpływ miało na społeczeństwo, co podniosło pewną gałęź literatury, nie możemy przecież przyjmować bez oglądania i badania, wszystkiego, co mu się później napisać zdarzy. I owszem, z tém większą uwagą przypatrywać się płodowi temu późniejszemu winnismy, z tém pilniejszą bacznością rozbierać go, powodując się nie paradoksem: *że zasługa i talent obowiązuje*, ale najprostszém w świecie spostrzeżeniem, że ludzie doszedłszy do pewnéj głośności, lubią sobie lekceważyć publiczność, dając jéj za pożywienie byle co, pierwsze lepsze z brzegu, w tém przekonaniu, że co od nich pochodzi, musi być dobrém, wielkiém, znakomitém... Gdyby mi tu szło o wyczerpanie przedmiotu, mógłbym zdanie powyższe stwierdzić przykładami wziętemi z utworów najznakomitszych nawet powag, jako to: *Wincentego Pola*, *Kraszewskiego*, i innych.

A cóż dopiero mówić o tych powagach z dnia na dzień, rodzących się co lat kilka na bruku warszawskim, jak szparagi na miękkiéj, pulchnéj ziemi? o powagach, których wielkość ocenia się doniosłością własnego ich przekonania i najbliższych ich przyjaciół? których talent jest dla ogółu publiczności, co najmniéj, wielkim znakiem zapytania? których działalność rozwija się na szerokiém polu przekładu jakiéj piosenki Hejnego lub oryginalnego utworu zamieszczonego na trzeciéj lub czwartéj stronicy którego z Kuryerków! A jednakże i wobec tych powag słomianych, literaci warszawscy truchleją, zamieniając się w (nie-Fidyaszowe) posągi podziwu, z których dobywają się niekiedy promienne frazesy uwielbienia, tymże powagom odkradzione. A jednakże i takie wielkości chwytają ster dyktatury literackiéj, kierując nim w prawo i w lewo i pędząc panurgowe stado wedle swego upodobania i zachcianek... Broń Boże, odezwać się ze słowem nagany, z wskazówką słabych i najsłabszych nawet stron tych genjuszów! Zakrzyczą cię wielkim głosem, że kalasz własne gniazdo, porównają cię zaraz z Chamem

synem Noego i zechcą wystawić na pośmiewisko, a może i na pogardę. Nie lękajmy się — będzie to krzyk rozpaczy ludzi przeczuwających, że czas ich królowania bez podziału zbliża się już ku końcowi, że widzą poza sobą zastęp sił świeżych i wołają na alarm. Pozwólmy im cieszyć się swoją wielkością — tylko ich nie naśladujmy.

Z tego samego źródła, co poprzednie, wypływa również tchórzostwo w obec *młodych talentów nauki*. Nie powiem żadnéj nowości, gdy zeznam nawiasem, iż u nas niéma wcale krytyki naukowéj. Powiedział to już przed 40 laty M. Mochnacki, a od tego czasu żadna pod tym względem nie zaszła zmiana. Krytycy tacy sami, jak dawniéj: piszą o wszystkiém, choć w gruncie rzeczy nie znają się na niczém. Ten co nie wié, że Bronikowski przetłómaczył *całą* Odysseję Homera, pisze jak najpoważniéj, z uwielbieniem naturalnie, o filozofii natury p. Levitoux. Ten, co na medycynie zna się tyle co słowik na angielskiém zielu, pisze z całém przejęciem się o sławnym lekarzu. Wszystko to bardzo dobrze, dopóki są na pogotowiu doskonale wszystkim znane teoryje i ogólniki; ale biada dopiéro, gdy się pojawi cóś nowego, o czém oni nawet ani zasłyszeli... Dopiero to rwetes po wszystkich redakcyach i.. co tu począć, co tu napisać? zganić — a nuż to co dobrego! pochwalić — bój się Boga!.. to *człowiek* nieznany, pierwszy raz o nim słyszę, a jeszcze przyniósł takie licho, które kaci wiedzą, czém pachnie. Po długiéj naradzie staje na tém, że się o tém pisać nie będzie, dopóki któś inny śmielszy z krytyką nie wystąpi. O! wtedy łatwiéj jakoś będzie jeździć po utorowanym gościńcu. A jeżeli ten śmielszy nigdzie się nie znajdzie! No to co? Albo my to mamy koniecznie o wszystkiém pisać? Niech sobie leży to tam tałatajstwo na półkach! Czemu autor jego nie jest takim, jak wszyscy inni?...

Bo trzeba wam wiedzieć, o profani! że u tych panów człowiek znaczy wszystko, utwór prawie nic. Znają autora, to i o dziele jego cóś niecóś napiszą; w przeciwnym razie, czekaj ostatniego sądu Bożego — tu na biednéj naszéj ziemi nic się o pracy nowéj nie dowiész. Takito *horror scientiae* u nas panuje. Nowych myśli lękają się jak zarazy, a ich zwolenników i rozszerzycieli radziby jak trędowatych zamknąć w oddzielonym od całego świata szpitalu, aby się nie narazić na nader przykrą dla nich okoliczność wyznania: że są zawielkimi nieukami do ocenienia innego na świat poglądu, niż ten, który przed trzema wiekami był rozpowszechnionym. Oni myśleli, że poza granicami ich mózgów świat *myśli* już się skończył, a tu naraz pojawia się szczegół, który robi na nich wrażenie uderzenia łopatą w głowę. Przyznać się do nieświadomości byłoby w złym tonie, rozprawiać o tém nie sposób, bo dawniejsze szufladki z frazesami nie dają już żadnéj pomocy. Więc cóż? — uczyć się?— eh, cóż znowu! — złeby o nich miano wyobrażenie, o nich, co są ludźmi skończonymi! Milczéć —to sposób.

Nieco zmodyfikowaném jest uczucie lękliwości względem *nowonarodzonych poetów*. Już sobie pozwalają odpisywać tym panom, że ich utwory nie kwalifikują się do druku; już tu i owdzie napotka się ostrzejsza trochę nauczka.. choć zawsze tchórza z za pleców im widać. Zrażeni bowiem niepowodzeniem swoich poprzedników, którzy się załapali na Mickiewiczu, oglądają się teraz, rzucają oczami na wszystkie strony, ażeby gdzie znaleźć cóś takiego, coby ich uwolniło od ciężkiéj pracy wydania sądu, a nie znalazłszy, co się bardzo często przytrafia, bojąc się nie poznać na geńjuszu, *kwalifikują* utwór do druku, czego najlepszym dowodem są pełne kuferki papieru zaczernionego westchnieniami, przekleństwami, groźbami i mleczonosém gruchaniem. Lękają się powiedzieć tym rozwzdychanym, rozpłakanym i zrozpaczonym mięczakom, kilku następujących wyrazów: „Kochani! — zachowajcie to na imieniny swoich babek!.. One was najlepiéj zrozumieją, pogłaszczą wasze długie sploty, wycałują... bo to przypomni im ich młodość..”

Ale jak w życiu każdego tchórza zdarzają się chwile, w których tenże chce odegrać rolę bohatera, choćby na sposób Don-Kiszota, — tak i literatom naszym sposobność taką podaje powiastka lub komedyjka młodego jakiegoś pierwszy raz występującego autora. A! radująż się wtedy, radują! Zacierają ręce, kilka razy maczają pióro w kałamażu i... daléj-że jeździć po nim, jak po szosie! Wesołość ich podobną jest do rozbrykania się ucznia w czasie wakacyj, który wysiedziawszy się długi czas na ławie, przytrzymywany powagą inspektora i nauczycieli, nie mógł użyć swobody; no! ale teraz, kiedy jest wolny, kiedy nie widzi nad sobą surowego oblicza nauki, kiedy żadna nieznana mu okoliczność nie przeszkadza w pustocie, — hulaj dusza, co siły starczą! Do pisania recenzyj powieściowych i dramatycznych każdy czuje się powołanym. Jakie takie oczytanie, coś o charakterach, o intrydze i — niewielka całość powstaje, jakby sama. Nabierze się przez to powagi, z powodu któréj przyjdzie może z pokorą ów młodzian prosić o radę i poparcie. Jakaż to błogość dla *ślepego*, znaleźć *jednookiego* na drodze!

Takie są główniejsze objawy tchórzostwa literackiego. Niektórzy zaliczają także do nich wszystkie anonimy, pseudonimy i kryptonimy, twierdząc, że każdy występujący na arenę piśmiennictwa, powinien podnosić przyłbicę. Jest w tém trochę słuszności, tylko nie ze wszystkiém. Na tworzenie się powyższych *nimów* składa się kilka rzeczy. Jeden chce zmienić swoje niezbyt brzmiące nazwisko na jakieś inne, poetyczne, wspomnienia przywołujące; drugi pragnie publiczność zaintrygować, która torem u nas bardzo pospolitym, jest arcy-ciekawą i zechce zapewne przez znajomych uchylić zasłonę, przykrywającą osobistość, która się ze swojémi tytułami produkować zaniedbuje; trzeci uchodzi w społeczeństwie za człowieka poważnego i stara się to dobre i pochlebne o sobie mniemanie utrzymać, ukrywając lekkie płody swego pióra pół-nazwiskiem przybraném i t. p. i t. p. Oczywiście, znajduje się także pewna liczba indywiduów, co nie chcieliby sobie psuć renomy w bractwie wzajemnéj admiracyi, a żyłka śmielsza ciągnie ich do napisania czegoś, co się regułom tego bractwa sprzeciwia. I to ostatnie właśnie jest złem, bo jest—fałszem. Lecz z drugiéj strony, w literaturze głównie idzie, a przynajmniéj iść powinno o rzecz samę, nie zaś o nazwisko tego, co rzeczjakąś na jaw wyciąga; ocenia się sam przedmiot, a nie jego sprawca; waży się dobroć lub niedobroć materyjału i sposobu wykonania, bez względu na to, kto budował: pan Paweł czy Gaweł. Nie jesteśmy więc przeciw ukrywaniu nazwiska; jest to dla nas rzeczą obojętną; każdemu pozostawia się wolna wola i wybór. Chcieliśmy tylko wskazać szkodliwe strony braku odwagi w wypowiadaniu zdania, hamującego postęp pojęć w społeczeństwie, zachowującego starannie starą, zużytą bawełnę, a nie dopuszczającego wprowadzenia jedwabiu; zamieniającego świat życia duchowego w cmentarz, po którym przechadzają się duchy z bajek niańczynych. O takie drobnostki jak nazwiska — mniejsza.

Pozostaje mi tylko jeszcze dotknąć jednego pytania: zkąd się bierze ta chwiejność, ta lękliwość zdania w ludziach niby wykształconych —w literatach? Literat!.. wielkie imię, nasuwające na myśl cały szereg wzniosłych uczuć, gieńjalnych poglądów, szczytnych zamiarów i bohaterskich czynów... czasami! A tymczasem w naszym obrazie pokazało się, że to człowieczyna sobie maluczki, Bogu ducha winien, — bojaźliwy, niezdecydowany, chwiejny, hołdujący nizkiemu usposobieniu pochlebstwa, kadzący uniżenie bożyszczom, niewidzący tego, co idzie naprzód etc. etc. Ażeby tę sprzeczność pogodzić, nie potrzeba Salomona. Wiadomo z fizyki, że każde ciało stałe ma swój środek ciężkości, na który gdy natrafimy, umiémy to ciało postawić w położeniu pionowém; inaczéj chwiać się będzie i upadnie. Otóż w umysłach naszych literatów niéma tego środka ciężkości, który gruntowném wykształceniem nazywamy. Stalówka, atrament i znany ów magazyn frazesów—oto co stanowi literata... O specyalności nikt nie myśli; o głębszych studyach ani marzyć.. bo jakżeż można opuszczać tak miłe miejsca rozrywki, jak—ogródki? tak ważne zajęcia, jak—preferans lub bezik? tak słodkie napoje, jak—poncz lub wino?.. A zresztą, nacóż to wszystko? Na wszelkie nagabywania, zarzuty i przymówki bardzo łatwo odpowiedzieć frazesem:

— Publiczność do poważniejszych, naukowych kwestyj wcale nieprzygotowana; daremny trud i praca chcieć jéj koniecznie wtłaczać w głowę rzeczy, które jéj nie interesują.

Publiczność zaś ze swéj strony odzywa się:

— Gdyby nam dano coś dobrego, pożytecznego, napisanego zrozumiale i jasno przedewszystkiém, to i owszem, przyjęlibyśmy chętnie, czytali i innym powiedzieli... Ale tego niéma!.. Więc czytajmy co jest.

Jak długo spór ten wzajemny trwać będzie,—niewiadomo; to jednakże pewna, że literaci warszawscy ani na krok naprzód się nie poruszą; są na to zacięższy, za... starzy... Bo nawet ci, którzy kiedyś pracowali w pewnym obranym stale zawodzie, co zdobyli sobie wówczas jakiś zasób już wiedzy, teraz powiedzieli sobie: basta!—słońcu pojęć kazali się zatrzymać na godzinie i na minucie, w któréj się uczyć przestali. Od tego czasu są najmocniéj przekonani, że owe słońce stoi nieruchome dlatego, że oni tego nie widzą. Szczęśliwe złudzenie! Ono to pozwala im zasypiać słodko, marzyć błogo o zaszczytach i poważaniu, jakiémi ich dzisiejsze pokolenie otacza; o honoraryjach, którémi wydawcy zakupują ich myśli, a raczéj frazesy. Wzniosłe usposobienie! zaszczytne przekonanie o swoich obowiązkach!.. zaszczytne — tak jest — bo nie dozwala im stać się nowatorami, na szkodę i na zgubę społeczeństwa! Toć lepiéj i bezpieczniéj jeździć po utartym gościńcu, niż po niepewnéj kolei — wymyśle bezbożników!... Spać zresztą lepiéj!..

— No to i śpijcie!

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

Odczyty publiczne, miane w Krakowie,

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(Ciąg dalszy.)

a) Dzikość.

Wada ta *woli* rodzi się w dzieciach, skutkiem zaniedbanego tychże wychowania i złego towarzystwa, do jakiego je dopuszczamy. Jeżeli jeszcze jest tylko powierzchowną, objawia się wyłącznie w niezgrabnych ruchach ciała, lub ogranicza na rubasznych wyrażeniach w mowie, — w czém dzieci tego rodzaju znajdują osobliwsze upodobanie. Według ich bowiem sposobu widzenia, mają te zewnętrzne oznaki, wyrażać pewien stopień siły i swobody, albo dowcip, mogący drugich śmieszyć i bawić.

Wada ta może być przez czas jakiś uważaną za objaw dzielności serca, i łatwo nawet daje się w cnotę zamienić, zapomocą dobrych a odpowiednich wzorów. Lecz jeżeli zaniedbana w początku, zbyt rozpuści korzenie w naturze dziecka, natenczas występuje w jaskrawéj i wstrętnéj formie: gburostwa, brutalstwa i okrucieństwa względem istot bezbronnych i słabszych od siebie.

Dla przytłumienia jéj w dzieciach, należy je przedewszystkiém oddalić od złego towarzystwa, następnie przyzwyczajać je do uważania, aby nie siebie miały ciągle na względzie, a bardziéj tych, z którymi w jakikolwiek, bliższy wchodzą stosunek. Wlać téż potrzeba w nie to przekonanie, że otaczające je, a wskazane przez rodziców osoby, mają prawo wymagać od nich miłości i szacunku; że to jest podstawą własnego ich dobra, i że bez tego warunku życie nieznośném im będzie.

Wzbraniać zarazem dzieciom takim wypada wszelkiego niesfornego huku i hałasu w przytomności starszych osób; wtrącania się do rozmowy tych ostatnich; przeszkadzania ich rozrywkom i t. d. Przy jedzeniu trzeba im wzbraniać wszelkiéj chciwości, w tych bowiem nawykach łakomstwa, rozwija się najszerzéj zwierzęca natura *małych* równie, jak i większych ludzi. Zresztą właściwa wiedza wychowania odróżni z łatwością odcienia pomiędzy miłą i przyzwoitą swobodą w postępowaniu dzieci, a przesadną arrogancyą, będącą w nich właśnie objawem *dzikości*.

Dobre ułożenie dzieci, sprawia niewymownie miłe wrażenie na nas, jest bowiem prawie zawsze rękojmią wewnętrznéj delikatności serca... jakkolwiek się zdarza, że zbytnia czasem uprzejmość jest pokrywką wad gorszych jeszcze od *dzikości* w dziecku.

b) Gniewliwość.

Ta wada, jako najbardziéj rozpowszechniona między dziećmi, najłatwiéj się téż dopatrzéć daje, tak, że na piérwszy prawie rzut oka, przy zetknięciu się z podobném dzieckiem, wiémy zaraz czy skłonność do gniewu jest własnością jego charakteru.

Gdy widzimy, że dziecko dla małoznaczącéj przyczyny wpada w uniesienie, krzyczy, tupie nogami i rzuca się niesfornie, — gdy innym razem, zbyt wielkie ma upodobanie w psuciu i niszczeniu wszystkiego, co mu podpadnie pod rękę, — natenczas skłonność do téj niebezpiecznéj wady, wiodącéj prosto do rozpasanéj mściwości, w zarodku zaraz samym wykorzeniać trzeba.

Tu wszakże bądźmy niezmiernie ostrożni, aby w podobnie namiętnéj naturze dziecka, nie przeoczyć śladów usposobienia do energii,do silnéj działalności, do wytrwałości i rzutkości w pomysłach i czynach.

Ponieważ podobne usposobienie bywa tylko wyższych t. j. silniejszych charakterów udziałem, przeto nie pomijamy pewnych uwag psychologicznych, których znajomość może nas oświecić, gdybyśmy niekiedy rażące na pozór objawy, wynikające z powyższego temperamentu, przyjmować za zgubne wady zechcieli, a tém samém chcieli niszczyć w samym jego zarodzie najpiękniejszy może kwiat duszy dziecka, latorośl, z któréj rozrość się ma silne drzewo, obiecujące przyniość drogie dla ludzkości owoce.

Powiedzieliśmy wyżéj, że ciągła chęć w dziecku, niszczenia przedmiotów podpadających mu pod rękę, jest w niém oznaką wady, mającéj się wyrodzić w zapamiętałą *złośliwość* i skończyć namiętnością, którą powszechnie zwiemy *passyą*.

Tak jest. Jednakże z drugiéj strony, zbyt wczesne i zbyt gorliwe wstrzymywanie dziecka od niszczenia przedmiotów wręczonych mu do zabawy, nie jest, wedle uzasadnionych spostrzeżeń psychologów, zbyt trafnym występem ze strony prawdziwie myślącego pedagoga, dziecko bowiem zanadto ciche i ostrożne, nie zdołałoby nigdy, pod takim wpływem, rozwinąć w sobie potrzebnéj mocy i odwagi, do pokonywania lub usuwania tego, co na drodze jego woli, w życiu, stanąć może... moralnym przez to nazawsze stając się kaleką.

Zastanówmy się bliżéj nad tém i cofnijmy sami w peryod, gdyśmy jako dzieci jeszcze, zaczynali z otaczającemi nas przedmiotami po raz piérwszy wchodzić w bliższy i dotykalniejszy stosunek. W niszczeniu ich nieraz, nie przychodziliżeśmy do poczucia swéj władzy i swéj osobistéj godności?

Przypatrzmy się dziś malcowi, który podobnie, przedmiot jakiś dany mu do rączki, stłuc lub rozłamać na cząstki usiłuje. Cóż to za duma błyszczy w oczach niszczyciela! jakąż rozkosz widać w całéj twarzy jego, gdy mu się wreszcie rzecz nieodpowiednią jego zachceniu, zdruzgotać i zniszczyć bez śladu, uda.

Absurd!—zawołają umysły słabe.

Żywa prawda!—odezwie się badacz myślący.

Peryod ten zresztą u dzieci nie trwa długo,—i chybaby porę zwyczajnéj epoki niemowlęctwa za bardzo przekroczył, abyśmy się w istocie o dalsze objawy jego, trwożyć potrzebowali.

Wtedy dopiéro powinniśmy starań dokładać, aby ta niewinna zrazu pohopność do uniesień w dziecku, nie przemieniła się z postępem czasu w przywarę, o któréj w tym rozdziale mowa — *w gniewliwość.* Nastaje bowiem chwila u dzieci, kiedy te nagle przychodzą do *poznawania*, *jak należy korzystać z zabawek* darowanych im przez starszych i przez rodziców — gdy zaczynają same się starać o *przekształcanie* bardziéj, aniżeli o *niszczenie*, jak dotąd, zdobywanych przez siebie przedmiotów.

Chwilę tę dobrze podpatrywać należy i dobrze śledzić, czy dziecko stosowny do niéj, a odmienny już tryb postępowania z spotykanémi przez się przedmiotami, okazuje.

Kiedy chłopczyk zamienia po raz pierwszy laskę swego ojca na konika, dlatego, że mu się w téj chwili jeździć zachciało, —dokonywa się z pewnością, w duszy jego wtedy, wielki przewrót, będący wróżbą takiéj nowéj epoki.

Zwierzęta nie przechodzą nigdy w swym rozwoju podobnych faz i odmian. Niszcząc co, niszczą bez żadnéj wiedzy, a i na tém kończą, — nie *przekształcają* bowiem nigdy. W większéj lub mniejszéj zdolności owego *przekształcania* rzeczy, wedle swych chwilowych zachceń, u dzieci,—upatrują psychologowie znaczniejsze lub mniejsze cechy talentu do poezyj, t. j. do działalności *twórczéj.* Dlatego źle też jest dawać dzieciom do zabawy cacka, imitujące z zupełną wiernością przedmioty, które te mają wyobrażać, jak np. konie, ludzi, domy, karety, i t. p.

Tym bowiem sposobem, dając odrazu za wiele gotowego *poznania* dziecku, mało bardzo okazyi zostawiamy własnéj jego wyobraźni do uzupełniania saméj sobie tego, czego istotnie danym przedmiotom do ich prawdziwości jeszcze brakuje. Wszakże daléj postąpi maleńki artysta, jeżli sobie z drzazeg, z małych klocków, lub z czegoś podobnego, domek np., sam, według własnéj myśli zbuduje, aniżeli, gdybyśmy mu takiż domek, w fabryce zrobiony i już gotowy, ofiarowali.

Témi uwagami staraliśmy się dowieść, o ile w objawie téjże saméj własności temperamentu dzieci, dobrych na przyszłość i złych zarazem zarodków, mieścić się może, i o ile od nas samych zależy, abyśmy jednę z najgorszych wad *woli* (bo za taką uważamy *gniewliwość!*) przekształcili zawsze na prawdziwą cnotę w człowieku—na dzielność ducha, oraz chętność do myślenia i pracy.

Tak jest — od nach samych tylko, od sposobu zrozumienia przez nas praw przyrodzonych, według których się rozwija świat umysłowy dziecka, zależy przyszłe szczęście tego ostatniego, a więc i nasze, jako rodziców, lub opiekunów, lub wreszcie choćby członków społeczeństwa.

Częstokroć — a bardzo poniekąd niesłusznie — oczekujemy smutnych tylko następstw z burzliwego charakteru, powierzonego opiece naszéj, chłopięcia. Zapominamy, że własność ta duszy jego właśnie, może stać się w rękach naszych bogatym materyałem do urobienia zeń cnót wielu, jeśli się tylko właściwie obchodzić z nim będziemy umieli.

Najskuteczniejszym środkiem na skierowanie tak ku dobremu wady zbytniéj *gniewliwości* i pohopu do uniesienia się w dziecku, starszém już nawet nieco,—jest miarkowanie ognistości, iż tak powiemy, jego, przez zimną krew własną i własny spokój. Skoro gniew pupilla tym sposobem raz i drugi bez skutku się upamiętywało, należy następnie w mniéj umiarkowaném karceniu go być już surowym, wytrwałym i stałym. Ten tryb postępowania sprowadza największego zapaleńca nawet na drogę refleksyi i rozwagi. Najgorszém jest zaś, gdy w podobnych razach, — jak się to najczęściéj zdarza,— wpadamy sami w passyą, w gniew, w zaciętość, krzycząc i rzucając się w uniesieniu, jakbyśmy sami za wzór złości i szału służyć tym chcieli, których

mamy strofować. Dolewamy wtedy oleju do ognia; a mały zapamiętalec, chociaż i ustąpi, — bo z porządku rzeczy tak być musi,— to jednakże w duszy poczuwa pewien tryumf, chełpi się, że nam zrównał zupełnie w czémkolwiek... czém wszystkiém uczymy go właśnie téj samej namiętności, którą chcieliśmy w nim stłumić i zniszczyć nazawsze.

Na zakończenie tego rozdziału, jeszcze małe postscriptum.

Oto, że gniéw nagle wybuchający, lecz uśmierzający się równie prędko, znamionuje prawie zawsze człowieka otwartego i mającego prawość w charakterze; gdy przeciwnie, zdolność tajenia i powstrzymywania w sobie uniesień gniewu, z myślą wykonania skutków jego późniéj i na zimno, — jest cechą serc nikczemnych i umysłów miernych. *(d. c. n.)*

LEKCYA TAŃCÓW.

Niéma kraju może, gdzieby tak łatwo było człowiekowi z lekkim mózgiem i lekkiémi nogami, (przymioty wprawdzie, które niezawsze chodzą w parze!) zdobyć sobie dobrobyt, wesele, respekt u bliźnich, a nawet sławę, jak u nas.

Przypatrując się, naprawdę, nieraz, różnym stanom i zajęciom ludzi i ważąc w umyśle, który z tychże stanów i fachów najwięcéj daje korzyści, najmniéj jednakże z drugiéj strony wymagając zachodu i pracy,—przyszliśmy do przekonania, że los, będąc tylko wrogiem człowieka, może go obdarzać większą bystrością w myślach, w głowie, aniżeli... w piętach.

Bo spojrzyjmy naprzykład, choćby na tego *jelonka*, co oto w téj chwili, ze skrzypkami w ręku przed nami, na str. czyli raczéj na posadzce mieszkania pana Wojtusińskiego, byłego ekonoma a obecnie obywatela miasta Warszawy, — dwie jego córeczki-siostrunie, miłe tarantulki polne, ku pociesze ich przyszłych mężów i mamy-Dobrodziéjki, pani Katarzyny z Kogucińskich Wojtusińskiéj, z gracyą godną rożków, które mu sterczą nad czołem, musztruje.

Widzicie ten elegancki fraczek jego, z sukna zapewne po trzy jakie rubelki, łokieć?.. ten z fantazyą na szyi zawiązany krawat?.. kołnierzyki, benokle, łańcuszki i—nie obrażając drażliwości płci pięknéj—pantalony?

Czy wszystko nad nim i pod nim nie oznacza młodziana pełnego dostatku, smaku, zadowolenia z siebie i wesela, na które niejeden poczciwiec, trawiący całe życie nad pracą, długie lata może, darmo oczekuje?

Cóż mu dało tę minę, tę godność, ten szyk.. tę pewność jutra i pewność przeżycia go dobrze?.. co? — Pięty, podeszwy, dziesięć palców, cztery kostki i nad kostkami wznoszące się, smagłe jak topole, nogi.

Zrazu... i on, prostak, nie mógł też trafić na właściwą drogę do swojego nieba,—i on, jak inni, chciał płynąć przeciw wodzie nawet, o samej pracy tylko, po burzliwéj a mętnéj fali, tego życia.

I z nim działo się różnie... działo jak z wieloma!

Był już raz kancellistą, aplikantem w sądzie, telegrafistą, potém sekretarzem bankiera... narzeczonym panny o tysiącach rubli, nauczycielem śpiewu w szkole organistów, notaryuszem, komornikiem i pod-archiwistą!

I on marzył, i on myślał być wielkim jak.. Bakon Werulamski! Aż nareszcie sprawdziwszy wszędzie i jednako niemoc swoję, zmierzywszy długie uszy łokciem danéj mu od Boga *praktyczności*, z raną w sercu, z guzem na czole.. bo i ten mu ktoś zrobił, niegodziwiec!.. postanowił sobie pięknego rana, porzuciwszy ideały i abstrakcyą, a pokochawszy *realizm* i *pozytywizm*.. gdy têm bardziéj wpadł mu teraz w rękę nowy prospekt Redakcyi *Przeglądu Tygodniowego*,— postanowił, mówię, zostać.. nauczycielem tańca, albo.. współpracownikiem „Ech Warszawskich“

Przeważyło pierwsze.

I oto..

Drzeworyt podany w dzisiejszym numerze przez nas, sam resztę objaśnia ciekawemu czytelnikowi.

Czy *jelonek* nasz sztukę poślubioną świeżo przez siebie, dobrze i z godnością zwolennika *sztuki realnéj*, uprawia; czy przez to wzbudzać winien w ludziach *dobréj woli* — szacunek, w Redakcyi *Przeglądu Tygodniowego* — adoracyą, a we wszystkich *lekkonogich*—zazdrość; świadczy fakt, mało może dla nas, lecz wiele dla pana Wojtusińskiego znaczący, że go p. Wojtusińska, uniesiona werwą jelonka, z sofki, na któréj drzemał już biédak po obiedzie, bezlitośnie na sam środek swego salonu wyciągnęła i zaczęła uczyć, niby nowa kapłanka Terpsychory, szalonych skoków, którymby lżejszy nawet daleko i młodszy od niego, zaledwie podołał.

Szczęściem, że o ile się domyślamy, pan Wojtusiński, w kwiecie wieku swego jeszcze, był także zawołanym i nieposledniéj próby tancerzem, — inaczéj bowiem, obecne *entre-chat* jego, ileżby śmiechu w patrzących, w miejsce podziwu, wywołały!

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom I.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XXIII.

Przyzwolenie wyrzeczone przez Sybillę, nie podobało się wprawdzie pannie Cains, jak to widzieliśmy, ale zyskało uznanie poważniejszych osób—ojca i ciotki. Kennedy z wielu względów zadowolonym był z przyszłego swego zięcia, choć ubogiego; panna Glyn była nim zachwycona. Kapitał był ulubionym przedmiotem jéj wyobraźni, co prędko dostrzegł jéj przyszły kuzynek i usposobienie to umiał na korzyść swoję wyzyskać. Przedsiebierstwo handlowe uważał on oddawna za jedyny cel swéj ambicyi, śmiałość zaś téj wzmagała się w miarę jéj gnębienia. Nie miał wprawdzie dotąd okazyi do nabycia praktycznéj wiedzy w tym zawodzie, — w teoryi jego atoli przewyższał o wielę pannę Glyn. Umysł jego niezbyt szerokiego lotu, w pewnéj sferze był logicznym i trafnym.

Codziennie pan Kennedy podziwiał praktyczność i przenikliwość poglądów swego zięcia, a panna Glyn, któréj miłość własną umiał on tak grzecznie oszczędzać przy każdém odniesioném zwycięztwie w dyspucie, rozkoszowała się tym skarbem znalezionym nadspodziewanie.

Wszystko mu więc sprzyjało, oprócz pogody. Nadszedł jeden z burzliwych miesiąców, deszcz padał codziennie, mgła napełniała powietrze. Zamierzoną wycieczkę do zamku odkładano z dnia na dzień, a powolne przechadzki w sklepowéj galeryi klasztoru, zajęły miejsce owych miłych wieczorów spędzonych w ogrodzie, podczas których hrabia de Renneville zdobył sobie serduszko swojéj narzeczonéj.

Rzęsisty deszcz padał właśnie pewnego popołudnia, gdy para zakochanych przechadzała się po galeryi. Sybilla zażądała, aby kochanek opisał jéj wnętrze zamku. Zgadzał się na to, ale z widoczną niechęcią.

— Wolałbym, żebyś go pani zwiedziła, — powiedział otwarcie; masz oko poety i odkryłabyś piękności tam, gdzie ja tylko widzę smutne ubóztwo.

Przechodzili właśnie mimo okien biblioteki. Sybilla ujrzała długie półki zapełnione książkami, rzuciła na nie wzrokiem pełnym ciekawości i zwróciwszy się do hrabiego, rzekła:

— Czy to jest biblioteka zamkowa? Nie mówiłeś mi jeszcze o niéj.

Spokojny uśmiech przemknął po bladéj, pięknéj twarzy hrabiego.

— Bibljoteka?—Niéma jéj tam wcale.

— Niéma?... Więc niéma książek?

— Niéma wcale takich, jakichbyś pani szukała; są tylko traktujące o ekonomii politycznéj, rolnictwie, handlu i tym podobne.

Sybilla spoglądała nań zdziwiona. Deszcz pluskał po płytach klasztoru; tu i owdzie utworzyły się kałuże w wydrążeniach nadpsutego bruku; w górze wisiało, posępne, szare niebo. Cóż robił hrabia w chwilach niepogody w starym zamku, jeżeli tam nie miał ani poety, coby mu mówił o blasku słońca i o skowronku, unoszącym się z małém swém szczebiotaniem nad wyłonioném ze śniegów polu; ani historyka budzącego wyobraźnią wrzawą minionych czasów; ani powieściopisarza, porywającego myśl obrauem szczęśliwéj i stałéj miłości?

— Pani będziesz miała książki, ale ja ich się wyrzekłem,—powiedział hrabia. Kusiły mnie i odciągały od twardéj rzeczywistości życia... w świat marzeń i złudzeń.

Pisałem nawet wiersze, kiedy miałem lat dwadzieścia.

— Wiersze!?—wykrzyknęła Sybilla. Pan pisałeś wiersze i nie mówiłeś mi nigdy o têm?

— Powiadam więc teraz pani. — Szał przeszedł i mogę go wyznać.

— Szał! — to niebył szał!... O, musisz mi pan pokazać swoje wiersze.

— Spalone.

— A zatém musisz pan je napisać.

— Będę posłusznym — odpowiedział; ale czy zasłużą na jéj uznanie, wątpię.

— Czy mogę je mieć jutro? — zapytała Sybilla, jak dziecko chciwe nowéj zabawki.

— Dziś wieczór jeszcze, jeżeli pani chcesz; ale nie pokazuj ich nikomu, nawet pannie Cains. Mogę popełnić to szaleństwo dla ciebie pani, lecz tylko dla ciebie. Po mojém odejściu, zajrzyj pani za poduszkę swego fotelu, a znajdziesz tam balladę albo sonet.

Sybilla spojrzała nań z zadziwieniem i zapytała, kiedy będzie miał czas ułożyć sonet lub balladę.

— O, czasu będę miał dosyć,—odpowiedział wesoło; tylko ojcu nie mów pani ani słowa. Utraciłby wszelką bezwątpienia, wszelką wiarę w zdolności moje praktyczne, gdyby się dowiedział, że wiersze piszę.

— Nie powiem nikomu, — rzekła Sybilla z błyszczącémi oczami. Może pana teraz opuścić, ażebyś miał czas?

Protestował przeciw temu, ale niecierpliwa Sybilla nalegała o natychmiastowe wykonanie danéj obietnicy. Odeszła w przeciwną stronę klasztoru, podczas gdy on przechadzał się powoli po drugiéj. Widziała, jak zatrzymywał się od czasu do czasu i pisał na kartce wydartéj z notatkowéj książki. W pół godziny przybliżył się do niéj i wręczył jéj złożony kawałek papieru.

— Tylko nie teraz,—rzekł, gdy Sybilla chciała czytać; w nocy, jak pani będziesz sama; będziesz pobłażliwszą może dla nieobecnego.— Wszak obiecujesz pani?

Sybilla musiała przyrzec i ulegając wrodzonéj niecierpliwości, rzekła:

— Jutro muszę być w zamku, choćby najgorsza była pogoda.

— Cieszy mnie takie postanowienie, może nam ono pogodę sprawi.

— Musimy wybrać pokój na bibliotekę,—mówiła daléj; muszę mieć książki, a pan będziesz czytywał je ze mną i wiersze układał. Stryj nie pisywał wierszy, ale... czytaliśmy książki razem, — dodała z westchnieniem,

— Jakież?... jeżeli można spytać?

— Rozmaite. O, on taki uczony!... Ale wierszy nie pisze.

— Bo nie zakochany, — odpowiedział hrabia z uśmiechem; miłość, to wielki nauczyciel.

— Biedny stryj! — pomyślała sobie Sybilla, przywodząc sobie na pamięć gorzkie tegoż wyznanie; jakże może pisać wiersze do narzeczonéj, kiedy jéj nie kocha?... Ale ja jestem kochana—szczęśliwa!

I szczęśliwa była, zaiste, gdy zamknąwszy się wieczór w swoim pokoju, otworzyła złożoną kartkę i z bijącém sercem przeczytała wiersze kochanka. Nie mogąc przytoczyć owych rymów, które jednakże zachwycały Sybillę, podamy tu tylko ich przekład prozą. Najistotniejszą ich zaletą była zwięzłość. Oto treść pieśni poety:

„Wędrowiec szedł znękany po drodze życia, i schronił się do samotnéj siedziby, niedaleko od téj, którą opuścił, gdy wychodził na walkę ze światem. Obcy ludzie byli panami domu jego przodków. Unikał ich, nie dlatego aby im zázdrościł, ale że nieszczęśliwy, nie lubił przyglądać się szczęściu innych ludzi. Raz jednak wszedł do domu, który przez czas tak długi był jego własnym. Przechodził przez staroświeckie pokoje, wspominając sobie przeszłość. W jednym z nich, w którym spędzał niegdyś dni długie, samotny i opuszczony, ujrzał piękną błyszczącą perłę. Podniósł ją drżącémi rękami. O wędrowcze, nie tykaj jéj! Perła już nie twoja. To własność obcego. Nie chełp się nią, dopóki jéj nie będziesz miał w swoim domu”.

Biedna Sybilla. Miała lat siedemnaście i poraz pierwszy pisano wiersze na jéj cześć. Łzy szczęścia płynęły jéj téż z oczu, gdy odczytywała strofy... po trzykroć. Zaledwie na chwilę usnąć mogła téj nocy, myśląc o szczęściu, jakiego doznawać będzie w przyszłości; a gdy w końcu uległa znużeniu, zdawało się jéj, iż śni na kwiatach edeńskich.

Gdy się zbudziła, słońca promienie zaglądały w jéj okno. Oblewały one cały widnokrąg dokoła i prawie osuszyły całkiém rozmiękłe drogi. Pyszny był dzień i tym pyszniejszy się wydawał, że go dnie chmurne poprzedziły.

Nareszcie mogli się wybrać do zamku Raymonda! Hrabia przysłał rano z zapytaniem, czy będzie miał zaszczyt przyjęcia pań u siebie, a odpowiedź miss Glyn była przychylną.

Wyszli. Przez całą drogę zdawało się Sybilli, że marzy. Jakże dziwne zmiany zaszły w jéj życiu, od czasu jak nazwała Saint-Vincent starym, nudnym domem!—ileż dziwniejsze jeszcze mają nastąpić! Stał jéj na myśli ów stary Raymond, rodzaj wielkiego rozbójnika morskiego; pragnęła widzieć jego portret i ów dziwny stary kominek z rzeźbą, o którym wspominał jéj kochanek, —to drzewo w jednym ze starych opuszczonych dziedzińców, o którém wzmiankowała Deniza, które podziwiał nawet powściągliwy Narcyz. Pewną była, że upodobała sobie to szare zamczysko, samotnie i dumnie stojące w okolicy.

Zamek ten zwróconym był frontem du morza, na zachód, a od północy przytykał doń mały lasek. Odbijał malowniczo od ciemnozielonego tła boru, ale wewnątrz, niestety, był pusty i zniszczony. Mało co z dawnéj przeszłości pozostało. Ubóztwo wszystko zniweczyło okrutną swoją dłonią, oprócz murów i kilku portretów, w których obronie *Próżność* stanęła. Skarby średniowieczne znikły; poszły zdobić mieszkania plebejuszów. O wszystkiém tém wiedziała już Sybilla. Deniza opowiadała jéj o dziwacznym siedmioramiennym żelaznym świeczniku, o rzeźbionych dębowych krzesłach, o starych ceramikach, z których niektóre przeszły do królewskich muzeów. O wszystkiem tém wiedziała i nie dziwiło ją wcale, iż wszedłszy wewnątrz, znalazła tylko ubogie i pospolite meble kształtu nowożytnego. Było to dla niéj rzeczą obojętną. Był ubogim—i to jeszcze silniéj oddziałało na jéj uczucie gdy wchodziła w jedyną pozostałość z dziedzictwa jego przodków. Podczas gdy hrabia słuchał z uszanowaniem rozprawy miss Glyn o kapitale i opowiadania pana Kennedy o zasiewach rzepaku, Sybilla z zajęciem spoglądała po portretach staroświeckich. Liche to były malowidła i dlatego może ocalały; lecz były portretami przodków hrabiego, a pięć lub sześć z pomiędzy tych twarzy, odznaczały się wybitną charakterystyką. Naraz spostrzegła Sybilla Raymonda. Imię jego wypisane było na zblakłéj ramie portretu, niepodobna więc było się omylić. Sybilla spodziewała się ujrzéć okrutnego, dziko poglądającego wojownika, — jak to kazały się spodziewać czyny nieboszczyka; tymczasem miała przed sobą twarz bladą, łagodną, w któréj było trochę podobieństwa do jéj kochanka. Uczuła się zdziwioną.

Miss Cains rzuciła na portrety pogardliwym wzrokiem, nazwała je mazaniną i poprowadziła Sybillę daléj. Po schodach weszły do pokoi na piętrze, zakurzonych i pustych.

— Moja gołąbko—rzekła czule miss Cains; do pustego gniazdka wchodzisz.

— Tém przyjemniéj wlać w nie ciepło życia, — odparła Sybilla ożywiona.

Miss Cains roześmiała się.

— Wolałabym gniazdeczko z tém...... ciepłem!—rzekła wesoło. Ciekawam, co tam jest wyżéj?

— Poddasze.

— Pójdźmy zobaczyć.

— Nie,—zmęczona jestem.

— Więc ja sama pójdę i zdam ci sprawę z tego, co tam znajdę.

— Jak chcesz,—rzekła Sybilla.

Nie gniewała się o to, że została samą. Z rozkoszą stanęła w głębokiéj framudze okna i spoglądała na zielony krajobraz, z którego unosiła się mgła w miarę rosnącego upału. Z rozkoszą marzyła o błogiéj przyszłości, spokojnéj i pogodnéj, jak widok rozściełający się przed jéj okiem. Tu ona i Andrzéj de Renneville będą czytać, studyować, rozmawiać, spoglądając na żyzną ową równinę. On zastąpi jéj stryja Edwarda, będzie jéj nauczycielem i przyjacielem. Pisze piękne wiersze, a stryj Edward sam się nazywa *prozą*. Więc nawet zyskuje na zamianie. Ta myśl przelotna zasmuciła ją; czuła wyrzut sumienia.

— Lecz przecież pragnęłam obu zachować—a stryj odmówił. Nie lubi Andrzeja, a nie może powiedzieć za co — któż więc winien?

(d. c. n.)

NOWINY.

— Nowa Golkonda! W Cap odkryto kopalnią dyamentów, ale tak obfitą, że w jednym dniu można tych pięknych kamyczków uzbierać ilość wystarczającą do przetworzenia najlichszego biedaka w Nababę. Robotnik pracujący w tym ukrytym dotąd skarbcu natury, znajduje dziennie do 20 kamieni, wagi od 20 do 80 karatów. Znaleziono tam jeden dyament, ważący 174 karatów, za który dawano już właścicielowi 750,000 franków. Ciekawi teraz jesteśmy jak prędko Cap się zaludni.

— Inżynier Turecki Chaddan projektuje, dla połączenia brzegu Bosforu z Konstantynopolem, tunel z rury żelaznéj, któraby miała 3 met. szerokości a 360 met. długości, i opuszczoną była na 9 met. pod powierzchnią morza, tudzież przytwierdzoną łańcuchami na kotwicach do dna morza. Wrurach mają być położone szyny dla kolei żelaznéj z pochyłością 1 na 50. Pływający ten tunel, zdaniem powyższego Inżyniera, daleko łatwiéj i taniéj da się zbudować, niż tunel pod dnem morza, którego głębokość, wynosząca 40 metrów, przedstawia ogromne trudności w wykonaniu tego projektu.

— Pan Artur Mangin napisał dzieło, p. t. „Człowiek i Zwierzę”. (L'homme et la Bête). Ciekawa ta i zajmująca praca, która znalazła już recenzenta, przypomniała temu ostatniemu owe dowcipne zdanie Boileau: „le plus sot animal, à mon avis, c'est l'homme”,

a doprowadziła go do konkluzyi, na którą zgadzamy się najzupełniéj, że *zwierzęta rozumne lepsze są niż rozumy zezwierzęcone.*

— Były redaktor pisma rusińskiego satyrycznego w Wiedniu, p. Liwczok, ma wkrótce rozpocząć wydawnictwo nowego czasopisma, którego tytułu nie znamy jeszcze.

— Gazeta Petersb. ogłasza, że oprócz scen: niemieckiéj, francuzkiéj i włoskiéj, Petersburg ma wkrótce posiadać scenę angielską. Niejaki pan Routland, wszedłszy w spółkę z innymi, otrzymał upoważnienie na otwarcie przedstawień angielskich w domu Hrabiny Suworowéj, na ulicy Gagaryńskiéj. Trupa artystów wkrótce ma przybyć do Petersburga.

— Z nowych utworów młodego naszego artysty—malarza, p. Chełmońskiego, zasługuje na szczerą uwagę obraz, podpisany, „Odlot Żórawi".

— Z nowości *wystawowych* wspomnieć wypada o obrazie rodzajowym p. Brodowskiego, do którego temat artysta wziął z życia żołnierskiego. Kilku kawalerzystów przewozi furaż przez rzekę dla swoich koni. Piękny też obraz p. Gryglewskiego: „Wnętrze kościoła w Wiedniu" Maria Stiego. Z oddziału rzeźby zwraca uwagę portret ś. p. Ludwika Panczykowskiego, dokonany przez p. Syrewicza.

— P. Gargulski, autor kilku drukowanych już powieści, a mianowicie „Bohatér dni naszych", i „Obrachowanie posagu" w „Kłosach", napisał obecnie nowy utwór powieściowy, p. t. „Wola matki".

— W Teatrze Wielkim odbywają się próby z dwóch oper Verdie'go: „Afrykanka", na benefis p. Miller-Czechowskiéj i „Lombardowie w piérwszéj krucyacie".

— Poznańskie towarzystwo przyjaciół nauk, na posiedzeniu w dniu 23 b. m. słuchało wniosku professora Dębego „o sposobach ujednostajnienia nomenklatury chemicznéj polskiéj".

— P. Aleksander Przeździecki, autor znanych już czterech tomów dzieła historycznego, p. t. „Jagiellonki", wkrótce ma wydać tom 5-ty téj pracy, z szacownych nabytków, poczynionych na drodze odkryć historycznych, we Włoszech.

— W księgarni Foxlanda wyszła partycya „Faust", Schuhmana. Powiadają znający się na rzeczy recenzenci zagraniczni, iż muzyka tego artysty, odznaczająca się tajemniczością, w niektórych epizodach, a mianowicie w scenach w ogrodzie i w kościele, zaważyła na szali dotychczasowéj sławy Gounod'a.

— Nakładem pp. Gebethnera i Wolffa wkrótce wyjdą ćwiczenia na fortepian dla uczących się; jestto pamiątka, jaką pozostawił po sobie *muzykalnéj Warszawie* p. Reinecke.



Lekcja tańców, (kopja ze szkicu Grandville'a).

— P. Radziszewski przełożył popularną powiastkę niemiecką dla dzieci, p. t. „Ryszard Whittington i jego kot". Wydanie to ozdabiają kolorowane obrazki; wydawcą zaś jest p. Julian Müller.

— Precz z przestrzenią! — Cały świat można dziś okrążyć w ciągu 82 dni. Ktoby chciał odbyć tę podróż, błyskawiczną w stosunku do jéj ogromu, niech się uda do San-Francisko w Ameryce, gdzie kilku spekulantów ogłosiło gotowość za zapłatą 1145 dolarów (około 2000 r.) obwieźć amatora takiéj przejażdżki, (grożącéj poniekąd złamaniem karku), po wszystkich wybrzeżach kuli ziemskiéj.

— Jedna z najnowszych powieści Emila Gaboriau'a, p. t. La clique dorée", ma wkrótce wyjść w przekładzie polskim, nakładem p. Kaufmana. Gaboriau'a pisał tę powieść podczas drugiego oblężenia Paryża przez armią Wersalską.

— W Paryżu publiczność czytająca, z zajęciem powitała „Niewydane dotąd pamiętniki Lamartine'a" którego sama, przed śmiercią jeszcze, pogrzebała była w zapomnieniu... Poeci mają tę wspólność w losach z panującymi, iż świat zaczyna ich uwielbiać równie jak tych ostatnich, dopiéro na grobie.

— Książe Aumal zajął już miejsce w Akademii francuzkiéj, po panu Lambert.

— W Inspruck u z dnia 20 na 21, w nocy, okazała się na niebie światłość, jakby z połączenia gwiazd, posuwająca się od wschodu ku północy, a tak mocna, jak dwie pełnie księżyca.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis.